Tom XVIII. Nr. 1.

1. stycznia 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



# DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

## Król Kazimierz Wielki.

Owego czasu, gdy panował Polsce ukochany król chłopków, z Piastów ostatni, Kazimierz Wielki, syn Łokietkowy, żył sobie w krakowskiej ziemi biedny chałupnik, który nie miał tylko trzy zagony, a wieś gdzie mieszkał, należała do niezmiernie bogatego pana. Jak to się często zdarza że bogactwo zepsuje człowieka, serce mu oziębi i o Bogu nawet pamięć zagłuszy a pobudza do coraz większej żądzy tych dóbr ziemskich, tak się też i z owym panem stało. Choć zacnych ojców, choć chowan był w bojaźni Bożej i miłości ojcowskiej dla ludzi, gdy sam owładnął włości i bogactwa, zapomniał o cnocie a stał się dumnym, nieprzystępnym, chciwym i lada czego unosił się nieposkromionym gniewem. Obawiali się go poddani a nie kochali.

I ów chałupnik ubogi odrabiał ciężko swoje trzy zagony i starał się jak mógł by nie rozgniewać pysznego dziedzica. Jednego roku poradziwszy się z żoną i sprawiwszy jak najle-

piej swój ogródek, zasadził go cały kapustą i westchnął do Boga aby poszczęścił jego pracy. I szczęścił Bóg dobry słoneczkiem, deszczykiem, doglądał jego kapusty, rosła, zwijała liście i jesienią w prześliczne głowy się rozrosła, aż radowało się serce wieśniaka i jego dziatwy, patrząc na piękny dar Boży. Nareszcie przyszedł czas rąbania kapusty, wieśniak kupił sobie beczułkę w mieście, aby cząstkę ukwasić na zimę a resztę zamyślał przedać nieborak, bo żona i dzieci nie mieli odzieży, ni obuwia. Całym jego ratunkiem miała bydź ta kapusta, całą pomocą w biedzie. Pewnego poranku wstawszy rano z Bogiem, dziatwa skoczyła do lasu po liście dębowe, bo miała się kwasić kapusta, matka poszła pożyczyć szatkownicę, ojciec na pańskie; w tem gdy wrócili, Boże litościwy! załamali wszyscy ręce w rozpaczy! Caluteńka trzoda pańska wpadła do ogrodu i już tylko dojadała prześlicznej kapusty. Stado tam było niezliczone, kapusta znikła, tylko poczerniały stratowane grzędy!

Biedny wieśniak zapłakał gorzko, cała jego dola już poczerniała. Zawodziła żona, dzieci płakały. W tym srogim żalu wieśniak pobiegł do dworu błagać w tej wielkiej krzywdzie ratunku i sprawiedliwości. Pan niedawno był usnął, bo noc całą się bawił; płacz i narzekania wieśniaka przebudziły go. Niesłuchając skargi, wpadł w gniew zajadły i krzyknąwszy na zgraję sług, kazał nieszczęśliwemu wyliczyć pięćdziesiąt kijów. Skatowany wrócił do domu i dopiero się rozległa chata od żalów i płaczu! Sąsiedzi się zbiegli, każden brał krzywdę do serca ale nikt pomódz nie mógł.

— Boże mój, Boże! biadał biedny chłopek, gdzież ja pójdę po sprawiedliwość, po ratunek? Komu się użalę krzywdy, kto mię poratuje! doloż moja nieszczęsna!... żebrać z dziećmi przyjdzie... I długo tak jęczał i biadał nieborak, aż żona jego jakby dobrą myślą od pana Boga natchniona, podała mu taką radę:

— Mężu, idź ty do króla, on tam na Wawelu w złocistej koronie słucha skarg swoich dzieci. On nas poratuje. Idź spiesz do niego.

Wieśniak niedowierzając, biadał jak zajdzie do króla tak daleko, jak go przypuszczą do niego, jak mu swoje żale wypowie, kiedy nie potrafi.

— Ale idź-no tylko mężu, posłuchaj mnie, król przyjmie, król nie odgoni, tylko ufaj Bogu, a prośby mu podaj wypisane.

— Któż mi napisze? wyjęknął chłopek w smutku.

— Ja ci napiszę! zawołała żona, i poskoczyła do brzozy co rosła koło chatki, obdarła kawał kory, wyszukała ostry patyk i przyniosłszy mężowi, zaczęli z jednej strony ryć niby grzędę kapusty i trzody na niej a z drugiej, niby dwór wielki, ławę i na niej pięćdziesiąt kresek.

Tak wypisali biedacy swoją krzywdę jak umieli, a sam pan Bóg takie im dał myśli. Wyprawiła żona smutnego męża, kawałek chleba i słoniny włożyła do torby i święconą wodą przeżegnała Od wsi do wsi szedł chłopek a otucha w nim rosła bo wszędzie słyszał o dobrym królu Kazimierzu i jego miłosiernem sercu

Drugiego dnia noc go zaskoczyła w Świętokrzyskim borze pociemniało od chmur na niebie, trzeba było zanocować. Rozniecił więc ogień, pokrzepił się swoim posiłkiem, a potem poleciwszy się Bogu w serdecznej modlitwie, myślał już ułożyć się do snu, gdy czyjeś kroki w gęstwinie przestraszyły go, i przy świetle ogniska ujrzał przed sobą wspaniałego strzelca z strzałami i oszczepem i złotym rogiem wiszącym na ramieniu. Strzelec pochwalił Chrystusa pana i mile przemówił do chłopka że zbłąkany na łowach i zaskoczony nocą, ujrzał zdala jego ognisko i przyszedł spocząć, prosząc, aby mu miejsca przy sobie pozwolił. Chłopek z czcią odpowiedział:

— Miłościwy Panie! Bóg nikomu nie wzbrania ziemi i powietrza, a wy mnie o to prosicie? Jeżeli nie wzgardzicie, to proszę na kęs razowego chleba i słoniny, z duszy serca czem mam, służyć bym wam gotów.

Nieznajomy pięknie podziękował i ze smakiem pożywał posiłek chłopski, a potem pytał chłopka gdzie i po co idzie.

*

Biedak ośmielony słodyczą pańską, jął opowiadać krzywdę swoją ciężką, jął pokazywać dziwne swoje pismo do króla i nadzieje swoje wynurzać o opiece dobrego Kazimierza.

Słuchał go uważnie wspaniały strzelec i rozrzewnienie widać było w jego pięknem oku. Pocieszał chłopka że mu pewnie król wymierzy sprawiedliwość, a gdy księżyc wejrzał z za chmur i wyjaśniało niebo ku wschodowi, pożegnali się. Strzelec zagrał w swój róg złoty i poszedł swym szlakiem, a chłopek z modlitwą w ustach dążył do Krakowa na królewski zamek.

Tym strzelcem był sam król Kazimierz Wielki. On także wrócił na Wawel. Serce mu biło mocniej żalem nad niedolą swych dziatek, a straże otrzymały surowy rozkaz wpuszczenia natychmiast chłopka co przyjdzie z supliką do króla.

Wkrótce stanął w istocie chłopek u bram zamkowych i rychło wpuszczono go do króla, ale cóż, gdy ujrzał tego samego strzelca w łowieckich szatach, co z nim jadł chleb razowy i słoninę, a teraz mile uśmiechał się do niego i żądał wręczenia supliki.

Nie chciał wierzyć że to był król.

— Król siedzi w koronie na majestacie, ja samemu królowi tylko oddam moją suplikę.

Trudna rada, król wezwał na paradną salę znakomitych swych dworzan, przywdział koronę, okazały strój królewski, wstąpił na tron z berłem w ręku i zasiadł na majestacie, a dokoła radne pany. Złocistemi drzwiami wszedł wieśniak i przejęty trwogą drżał jak liść a usłyszawszy z tronu ten sam głos łagodny, padł na kolana i łzy całą były jego mową.

Król zstąpił do niego, podniósł go i utulił w żalu, a wziąwszy sam suplikę brzozową, podał do czytania marszałkowi. Ale któż mógł przeczytać takie pismo? Panowie oddawali jeden drugiemu, a król na ostatku wziął sam mówiąc do nich.

— Nie umiecie czytać próśb wieśniaczych! otóż ja ojciec, zrozumiem prośbę mych dzieci. I zaczął z kory ukazywać

krzywdę chłopka, zrobioną przez trzodę dziedzica i pięćdziesiąt kijów wynagrodzenia nieludzkiego za skargę słuszną.

Wszyscy się dziwili umiejętności króla, z jaką wyczytał prośbę z kory brzozowej, a chłopek płakał z radości. Wielkim jednak gniewem spłonął Kazimierz na niesprawiedliwego pana, posłał zaraz gońca po niego i przyrzekł straszliwą karę.

— Z kmieci powstali panowie, mówił on, nie dam im uciskać moich dzieci! ręka moja obali ciemięztwo; biada złoczyńcy! opieka moja obejmuje wszystkich zarówno pod sprawiedliwe prawa!

Od gniewu królewskiego zadrżeli dworscy panowie, pobladł ów dziedzic nie dobry, po którego w lot rzucili się posły. I sam chłopek poczciwy, nie chcąc po bożemu zemsty nad bliźnim, zaląkł się a usłyszawszy że śmiercią zagrożony był dziedzic, rzucił się do nóg króla i całować je zaczął ze łzami i prosił o przebaczenie dla swojego pana.

— Ojcowie jego byli i nam ojcami, mówił, i dziecko ich upamiętać się może, broń mnie Boże abym na głowę jego ściągał zgubę.., jam tu przyszedł tylko miłościwy królu prosić o nagrodzenie mojej szkody, bo dzieci mam drobne i nędzne..., kijów już nie chcę pamiętać, nie karz pana srodze, ojcze nasz wspólny!

Do łez wzruszony był Kazimierz i przychylił się do prośb wieśniaka, darował życie dziedzicowi, a gdy ten przybył cały struchlały, kazał mu podziękować biednemu chłopkowi za złagodzenie wielkiego gniewu i sprawiedliwości królewskiej.

Pytał jeszcze chłopka i nalegał król jakiej żąda nagrody, a on pokornie prosił, jeżeli taka już wola o kawałek zagumienka i ulżeniu ciężarów. Nie na tem wszakże skończyło się. Dobrotliwość i sprawiedliwość króla Kazimierza nie mogła poprzestać na tem. Darował chłopkowi całą tę włość w której mieszkał, na co chętnie przystał zatrwożony i skruszony dziedzic a chłopek wymawiał się i wzdragał. Wszakże aby mógł prawnie władać tą ziemią i nie cierpić żadnych zarzutów, nadał mu szlachectwo, sam go pasował swym mieczem na szlachcica a herb mu nadał i nazwał go Krzywda.

— Za miłość ojczyzny, za wolność w boju kmiecie zostawali szlachtą, rzekł król, za pracę i łzy krzywdy, a szczególnie za chrześcijańską miłość bliźniego, godzi ci się także zostać szlachcicem. Pamiętaj że tylko brzydki czyn szlachectwo ci odebrać może. Służ ojczyźnie, miłuj braci, cześć ci odda ojczyzna i panowie.

Coraz większy głos uwielbienia rozchodził się w kraju dla Kazimierza króla chłopków. Prawa wiślickie wkrótce ogłoszone zostały. Polska zakwitła, a szlachta i kmiecie kochali go serdecznie i kochali się ze sobą, widząc że on czuwa nad niemi i pragnie ich dobra i wspólnej miłości. Źli tylko lękali się jego sprawiedliwości.

# Żyd nawrócony.

W Warszawie u fary
Żył w karczmie żyd stary,
Poczciwie chociaż ubogo.
Gorzałkę szynkował —
Skórkami handlował,
Na włos nie skrzywdził nikogo.

I nieraz we święto,
Gdy dzwonić zaczęto,
On smutny patrzał z poddasza
I dumał tak sobie:
Wnet złożą mnie w grobie
Nie ujrzę już Messyasza.

I wtedy brał księgi
I czytał z mitręgi
Wieszczby zakonu starego,
A przed nim szli ludzie
Po pracy i trudzie
Na mszą do domu bożego.

I w głowie mu świta
Proroctwa gdy czyta —
Duch boży natchnienie mu wlewa:
„Ach może On święty
Ten Jezus rozpięty —
Bogarodzicą ta dziewa!“

I minął czas spory,
On tłumił jak zmory
Zesłane z niebios natchnienie,
Aż raz go sen zmorzył,
Gdy w polu się złożył
I miał przecudne widzenie:

Na wozie ognistym
W ubraniu śnieżystem
Zstąpił doń z nieba mąż stary
I rzecze: Jak długo
Chcesz wątpić zły sługo?
Spiesz się, bo bliski czas kary!

A żyd na: „Jehowo!
Tyż co to? rzecz słowo

Daj rozkaz, a spełnię go Panie!“
— Jam Eljasz posłany
Od Pana nad pany:
Uwierz! a łaska-ć się stanie!

Żyd zbudził się, spieszy,
I widzi tłum rzeszy:
Mężów i niewiast w żałobie,
Te niosły sztandary
Kościelne od fary —
Ci krzyże mieli przy sobie

I stanął, wszak nie śni:
Lud rzewne piał pieśni
Litości żebrząc dla kraju,
A w górze nad niemi
Daleko od ziemi
Anieli wtórzyli w raju.

W tem z bocznej ulicy
Pęd słychać konnicy,
Kozacy gonią z pikami;
A tutaj znów z boku
Już z bronią na oku
Piesi Moskale rzędami.

Lud ugiął kolana,
Słał modły do Pana,
Gotowy na śmierć, na męki;
I strzały błysnęły,
Krwi strugi spłynęły —
W niebo poległych szły jęki.

Żyd zadrgnął na boku,
Łza błysła mu w oku,
W duszy głos boży mu dzwoni:
Gdy życie zań niosą —
Toć bożą On rosą —
Ten Jezus z cierniem u skroni.

On naprzód pospiesza
I widzi go rzesza,

A kapłan, co szedł przed niemi,
Wzniósł nad nim krzyż z Panem,
Lecz z czołem krwią zlanem
Legł, z nim krzyż cięty na ziemi.

A pełen natchnienia
Żyd, przybiegł bez drżenia —
Zrąbany krzyż ujął w dłonie
I wzniósł go nad głowy
On sługa Jehowy
Z krzyżem wziął ciernie na skronie.

Padł obok kapłana,
A ten mu: „Ta rana,
Krew, którąś w Panu zbroczony,
Zbawieniem ci będzie,
Lecz uznaj, żeś w błędzie —
Chrztu prągnij, ze krwi ochrzczony.“

A żyd mu odpowie:
„Tam ponad wezgłowie
Sinego nieba cud widzę:
Niewiastę tak białą,
Że słońce ściemniało,
Że spojrzeć na nią się stydzę.“

„A przy niej anieli
W śnieżystej szat bieli
Spiewają hymn taki święty,
Że kości zadrżały
Na widok Jej chwały.
A duch mój strachem przejęty.“

„I w całej przestrzeni
Od hymnów promieni,
Co biją z czystej dziewicy,
Swiat nowy nieznany,
Gwiazdami dzierzgany,
A serce pełne tęsknicy.“

I skończył a z ciała
Już dusza leciała

Powitać Bogarodzicę,
A kapłan konając
I psalmy śpiewając,
Łzawą wzniósł w niebo źrenicę
I westchnął: „Zaiste!
Te łany ojczyste.
Ta Polska, wdowa krwią zlana
Choć dziś najuboższa,
Znać Panu najdroższa,
Gdy taka łaska jej dana."

*Wincenty Srokacz.*

# O rycerzu Zenonie i złamanym pierścieniu.

Opowiadanie przy kądzieli.

Był las gęsty a ciemny a ponury, jakiego dzisiaj szukać w świecie, w pośrodku zaś tego lasu, na wyniosłej skalistej górze, stał dwór wspaniały, książęcy. Pan tego zamku, jak ludzie dobrze wiedzieli, był najbogatszy ze wszystkich okolicznych książąt i rycerzy, których włości stykały się z rozległemi jego włościami; ale nikt mu nie zazdrościł ani jego włości, ani jego skarbów, o których dziwy rozpowiadano. Jeno córki jedynaczki, którą ów książę chował w dworze swoim na skalistej górze, zazdrościli mu panowie rycerze, bo takiej dobrej i takiej urodnej dziewki jak ona nie było w całym kraju, choćbyś ze świecą szukał, a wiedzieli wszyscy że kto poślubi piękną księżniczkę, temu dostaną się też i skarby i mnogie włości jej ojca. Książę nie wydawał za mąż jedynaczki i z niczem odprawiał licznych zalotników, niby dlatego że jeszcze lat nie miała, a w rzeczy samej dlatego tylko, że staremu ojcu żal było rozłączać się z ukochaną gołąbką, która osładzała mu życie. Ale sąsiednim książętom nie chciało się czekać tak długo jak stary ojciec żądał i jeden z nich, w którym gorętsza krew wrzała, zniecierpliwiony zwłoką, napadł raz niespodziewanie na dwór księcia, porwał pannę i dalejże uciekać z nią do swego zamku.

Lecz nim się zdołał wydobyć z gęstwiny boru co dwór otaczała, posłyszał nagle tętent za sobą jakby od kopyt końskich i ujrzał znanego sobie dobrze rycerza Zenona, który dowiedziawszy się o wszystkiem, puścił się co tchu ze swoją

drużyną w pogoń za napastnikiem. Dognał go jeszcze w lesie i wszczęła się zaraz pomiędzy nimi bitwa zażarta. Panna uklękła na zielonej murawie, złożyła ręce i modliła się gorąco aby Bóg dał zwycięztwo rycerzowi Zenonowi, i Bóg dobrotliwy wysłuchał próśb dziewczęcia. Rycerz Zenon zwyciężył a jego przeciwnik padł na ziemię z piersią przeszytą ostrzem miecza.

Skoro się wolną ujrzała piękna księżniczka, słów nie mogła znaleść na podziękowanie swemu obrońcy za jego poświęcenie i przyrzekła mu nawet, że z wdzięczności jaką czuje dla niego, nikomu ręki swojej nie odda, tylko jemu jednemu, a złamawszy pierścień złoty, który nosiła na palcu, dała rycerzowi jedną połówkę jako znak aby się z nim zgłosił na dwór jej ojca o dotrzymanie słowa.

Rycerz Zeno gdy te słowa z ust pięknej księżniczki usłyszał, opamiętać się nie mógł od wielkiej radości, ale człek to był chciwy; nie dość mu było na tej sowitej, choć zasłużonej nagrodzie, zachciało się mu jeszcze łupów z nieprzyjaciela co wyciągnięty leżał na murawie i konał. Zaczął więc skwapliwie obdzierać dogorywającego z bogatej odzieży, a w tem, pewnie Bóg sprawiedliwy chciał go tym sposobem ukarać za niecne łakomstwo, połowa pierścienia którą był ukrył w zanadrzu, wysunęła się mu w trawę i nim się spostrzegł, znikła w gąszczu bez śladu.

Rycerz zmartwił się okropnie swoją stratą. Zawstydzony, porzucił trupa czemprędzej i dalejże szukać w trawie zgubionej połówki pierścienia. Ale blaszka złota jakby się pod ziemię schowała. Nadaremnie jej upatruje wszędzie, nadaremnie szuka, ani śladu! Wszystką trawę naokoło przetrząs i własnemi rękami powyrywał listek po listku, ryje ziemię palcami a pierścienia jak nie ma tak nie ma.

Kilka dni minęło na daremnem szukaniu. Tymczasem we dworze książęcym gwar i ruch wielki. Książę rozpytuje się wszędzie co to za rycerz córkę jego wyswobodził, a nie mogąc się nigdzie o nim dowiedzieć, rozkazał obwieścić na wszystkie

cztery strony świata aby się zgłosił ten, co ma jego córki połowę pierścienia, bo chce dotrzymać słowa swojej jedynaczki, chce go przyjąć za zięcia, a jeżeli do trzech dni nie przyjdzie, to wyda córkę za innego, bojąc się ponownego napadu.

Nie śmiał się stawić rycerz Zeno, bo nie miał znaku, lękał się więc, aby go nie wzięto za oszusta i w ropaczy tułał się po lesie bez nadziei żadnej. Aż nakoniec zmiłował się Bóg nad nim. Jednego razu, kiedy rycerz spoczywał pod cienistym dębem i dumał o swojej niedoli, siadł kruk naprzeciwko na gałęzi i krakał jak by mu urągał. Rycerz patrzy a kruk trzyma w szponach coś świecącego. Przygląda się bliżej, przebóg, toć to jego zguba, toć połowa pierścienia księżniczki.

Ale jakże dostać tego skarbu? Rycerz schwycił łuk, wymierzył, chciał strzelić, ale kruk porwał w dziób blaszkę złotą i dalejże uciekać. Rycerz za nim, wymierzył powtórnie i oto kruk strzałą przeszyty spadł na ziemię, zguba już odzyskana. Hej! któż opisze co to za radość zagrała w sercu rycerza Zenona? Czemprędzej pospieszył na dwór książęcy, pokazał znak. Przywitano go z radością, stary książę i córka dziękowali mu ze łzami. Książę wyprawił sutą ucztę na jego cześć a w tydzień odbyło się wesele i piękna jedynaczka możnego książęcia, została żoną rycerza Zenona.

*Stanisław Krakowczyk.*

# Sąd we śnie.

Całkiem złym człowiekiem nie był nigdy Jakób, ale miał wadę która go bardzo łatwo na drogę grzechu sprowadzić mogła, lubiał nadto zabawy. Przez to brnął coraz bardziej w długi. W prawdzie miał dobrą chałupę i gospodarstwo, miał taki spory kawał gruntu, że na nim żył jego dziadek i ojciec, a żaden z nich nie znał przecież biedy. Ale oni pracowali skrzętnie. Jakób zaś lubiał często opuścić ręce w pracy a przytem pohulać.

W jednym roku urodzaj nie dopisał. Jakób sprzedał tak mało zboża że spłacił tem zaledwie podatek, ale o innych rzeczach nie mógł nawet i myśleć. Biedził się więc ciągle, narzekał na los, a nie przyszedł nigdy na tę myśl, że większa skromność w wydatkach wróciła by mu spokój i szczęście.

Właśnie w tym czasie umarł w Wiedniu brat sąsiada Jakóbowego, Szymona. Brat Szymona był kapralem, wysłużył całe dwie kapitulacyje, zebrał więc kapitalik, który zapisał swemu bratu.

Szczęście sąsiada obudziło w Jakóbie zazdrość.

— Jaka to niesprawiedliwość, mówił Jakób do siebie. Szymonowi wiedzie się zawsze najlepiej. Gdy u jednych pszenica tak źle zrodzi, że je chyba wziąść na pościółek, łany Szymona wyglądają, jak by je kto ozłocił, gdy innym braknie grosza na potrzeby domowe, Szymon nie tylko że już ma pełną skrzynię cwancygierów, ale jeszcze nadto Bóg wie zkąd takie wielkie sumy dostaje. I żeby to choć umiał korzystać z tych pieniędzy! Ale gdzie tam, to kutwa, boi się nawet spoglądać na swoje pieniądze, żeby mu nie uciekły.

Jeżeli człowiek tylko jednej grzesznej myśli da przystęp do czystego sumienia, to już się trudno ustrzedz i od innych grzechów. Tak się też stało i z Jakóbem. Najpierw zazdrościł szczęścia swemu bliźniemu, a niebawem szatan przynęcił go do daleko szkaradniejszego występku.

Raz wybrał się Jakób pod wieczór w daleką drogę. Wszystkim wpadła w oko ta zagadkowa podróż, ale on tłumaczył się tem, że idzie do chorego brata, który aż o kilkanaście mil od niego mieszka. Na drugi zaś dzień po odjeździe Jakóba stał się wielki hałas we wsi całej. Wszyscy biegli do Szymona, do którego tej nocy zawitał złodziej i rozbiwszy cichaczem tylne drzwi, co od podwórza do komory wiodły, zabrał skrzynię z pieniędzmi.

— Kto to może być tym niecnotą? mówili między sobą gospodarze. Boć tego nie zrobił żaden przybysz od świata ale ktoś taki, co znał dobrze całe domostwo Szymona.

— Jakób wyjechał gdzieś wczoraj i tak pod noc samą, mówił półgłosem stary Maciej i kiwał znacząco głową.

— Ależ wtedy jeszcze była skrzynia w komorze Szymona, odrzekli inni.

Szymon zmartwiony, nie mówiąc nic nikomu, wyjechał zaraz na drugi dzień do miasteczka obwodowego, by tam uwiadomić urząd o tym wypadku. Po dwu dniach wracał smutno do domu. Ale zaledwie wyjechał za miasto, powstała ogromna burza. Trudno było dalej jechać, zajechał więc do karczmy, a ponieważ już dość późno było, zaprowadził konie do stajni a sam położył się zaraz na okłot świeżej słomy, by bodaj we śnie zabić dokuczającą mu troskę.

Zaledwie Szymon zamknął powieki, aliści zerwał się nagle na jakieś głosy ludzkie, które usłyszał w przeciwnym końcu stajni. Nie wiedząc że burza gwałtowna prócz niego i wielu innych jeszcze podróżnych zawiodła na nocleg do karczmy, przeląkł się ogromnie. Po chwili przyszedł do siebie, ale zaląkł się jeszcze bardziej, gdy znowu usłyszał ten sam głos a tuż przed sobą ujrzał jakąś białą postać. Już teraz sądził Szymon że widzi przed sobą nieczystego ducha.

Ale biała postać nie zważając na to, zbliżyła się jeszcze bardziej do niego. Szymon zerwał się na nogi i wpatrzył się w stracha, ale jakżeż się mocno zdziwił, gdy w tej białej marze poznał Jakóba. Chciał nań zawołać po imieniu, ale przypomniał sobie, że Jakób należy do tych ludzi, co się nieraz w nocy zrywają i jakby na jawie mówią o różnych rzeczach.

— Może się z czego wyspowiada, pomyślał Szymon i przycupnął w kącie. Jakób stanął na miejscu, wykrzywił tak strasznie twarz, że aż Szymona strachem przejął i zaczął na głos wołać:

— Panie sędzio! jak Bóg na niebie, niesprawidliwie mnie o to obwiniacie. Ja jestem gospodarzem, mam własny grunt i dom i gdzież mnie tam myśleć o kradzieży.

Szymon nadstawił bliżej ucha.

— Coś w tem musi być złego, pomyślał sobie.

Jakób zrobił minę jakby kogoś uważnie słuchał, a po chwili zaczął mówić dalej:

— Kto mnie dowiedzie żem złodziej? A ja wam dowiodę żem czysty i niewinny, bo tej nocy, kiedy okradziono Szymona nie było mnie w domu.

Szymonowi zaświtało w głowie, był pewnym że jest już na tropie złodzieja. Jakób mówił dalej:

— Maciej mówi żem w nocy wrócił napowrót do wsi i że potem widział, jak po północy ktoś się ze wsi wykradał? Maciej zawsze coś do mnie cierpiał i źle mi życzył. Ja nie wracałem z drogi do domu, świadczę się Bogiem i sumieniem.

Szymon przypomniał sobie rozmowę z Maciejem zaraz na drugi dzień po spełnionem złodziejstwie i zastanowił się teraz dopiero nad jego podejrzeniami. Jakób mówił dalej:

— O panie sędzio! to wielka krzywda i niesprawiedliwość. Ja niewinny mam siedzieć jak rozbójnik w kryminale?

Po chwili przerwy mówił dalej, ale już nieco spokojniej:

— A zrobicie że tak, jakeście powiedzieli, że jeżeli wyznam zbrodnię, to mi zmniejszycie karę o połowę? No, to się przyznaję! Ja, ja skradłem Szymonowi pieniądze. Ale to nie taka zbrodnia wielka jak ludzie mówią. Szymon ma wszystko, chleba i pieniędzy podostatkiem, a ja zawsze muszę biedować o suchym chlebie. Szymon bez pracy dostaje wielkie pieniądze a ja nie mam grosza, by wypić czasem kieliszek wódki. Miejcie więc litość panowie. Weźcie skrzynię, którą schowałem w stodole między snopami a mnie puśćcie na wolność.

Szymonowi teraz dopiero roztworzyły się oczy. Ale nie chciał robić krzyku, tylko począł się zbierać, by jeszcze przed świtem dojechać do wsi. Tymczasem Jakób uspokoił się i wrócił na swe dawne miejsce spoczynku.

Nazajutrz wrócił i Jakób do wsi, nie wiedząc nic, co się z nim działo dzisiejszej nocy.

W krótkim czasie po powrocie przyszedł do niego Szymon z wójtem i przysiężnym. Jakób pobladł nieco, ale uda-

wał spokojnego i przyjmował ich u siebie jak gości. Ale Szymon zaraz do niego w te słowa przemówił.

— Wiecie Jakóbie, że zaraz po waszym odjeździe, złodziej dobył się do mojej komory i zabrał wszystkie pieniądze?

Jakób udawał zdziwienie, jakby o tem zgoła nic nie wiedział. Szymon mówił dalej:

— Jakóbie przyznajcie się a klnę się na sumienie że was nie zapozwę do sądu. I świadkowie ci, tosamo nikomu o tem nigdy nie powiedzą.

— Co? zakrzyknął Jakób, jak wy się możecie odważyć posądzać mnie o złodziejstwo?

— Jakóbie, Szymon mówił, Bóg rozmaicie karze zbrodnie i występki. Wy nie wiecie, żeśmy dzisiaj w jednem miejscu nocowali. Wam przyśniło się, że stoicie przed sędziami i wypowiedzieliście przez sen wszystko, żeście wzięli moją skrzynię i żeście ją w stodole schowali.

Jakób struchlał na te słowa. Pobladł mocno, nie powiedział ani słówka, ale stał strwożony.

— Ja wiem, mówił dalej Szymon: że wy dotąd byliście zawsze porządnym gospodarzem. Tylko wam się zachciało kołaczy bez pracy, to grzech wielki. Własność zawsze własnością, czy ona zapracowana krwawo, czy otrzymana od kogo w podarunku a Bóg nie pozwala pokuszać się o cudze.

— Szymonie, rzekł Jakób podbity temi prawdziwemi uwagami Szymona i jego poczciwością, jam zbrodzień wielki. Jam się nie ostał w poczciwości. Pokarał mię Bóg, niech mię więc i ludzie słusznie ukarają. Weźcie wasze pieniądze a ja sam pójdę do sądu siebie zaskarzyć

— Nie, rzekł Szymon. Kogo kara Boska dotknęła, temu już nie potrzebna kara ludzka; wiecie żeście zbłądzili, że trzeba ze skruchą i pokutą poprawić się i odzyskać dawną niewinność i czyste sumienie.

Jak dziecko płakał Jakób i z płaczem zwrócił skrzynię skradzioną.

Szymon i wszyscy świadkowie dochowali tajemnicy, a we wsi mówili, że złodzieja złapano w mieście i tam zwrócono pieniądze właścicielowi.

Jakób poprawił się do niepoznania. Pracował odtąd niezmordowanie. Z czasem opuściła go ta chuć pieniędzy i hulactwa i za pomocą Boską zakwitło jego gospodarstwo tak, że mógł żyć dobrze i uczciwie. Szymona szanował i kochał, bo wiedział, że gdyby Szymon chciał był postąpić sobie surowo i oddać go do sądu, to osławiwszy się już raz w obec swych sąsiadów, utraciwszy raz wstyd i resztę uczciwości, byłby stał się na zawsze zbrodniarzem. Wiedział o tem i Szymon i dlatego nie poszedł za chęcią zemsty, ale za uczuciem miłości chrześcijańskiej, które każe bliźnich naszych miłować, a zbłąkanych nawracać na drogę cnoty.

*Bartek Szkolarz.*

# Prawda w oczy kole.

W jednej wsi zeszli się ludzie do karczmy, aby sobie obrać nowego wójta, albo starego któremu się właśnie lata skończyły, potwierdzić na gromadzkim urzędzie. Jak to zwykle bywa w takich razach, było w karczmie pełno gwaru, pełno hałasu; ten tego radzi, ów innego zachwala. Był zaś między gospodarzami jeden głupkowaty, imieniem Franek, który chodził ciągle od jednego do drugiego i namawiał wszystkich, aby Lejzora karczmarza wójtem obrali. Ten i ów zbył głupiego ni tem ni owem, ale mądry Mateusz stary wójt, który miał wielką ochotę i nadal wójtem zostać, ulitował się nad głupotą Franka i zaczął mu tłumaczyć że to być nie może w żaden sposób.

— Zważ tylko mój Franku, rzekł mu, czyby kto Lejzora słuchał gdyby on wójtem został? Pomyśl, czyby taki żyd jak Lejzor, szachraj, a pono i złodziej, potrafił sprawy jak się patrzy sądzić, kiedy on ze złodziejami za panie brat żyje, a

tylko na swoje koło wodę toczy i tylko o swoim worku myśli, a każdego radby okpić, oszukać.

Uśmiechnął się głupkowaty Franek, pokręcił głową i tak rzekł:

— Dziwni ludzie, teraz wszyscy Lejzora słuchacie i tak tańczycie jak on zagra, bo nim co uczynicie zawsze pierwej Lejzora pytacie o radę; jestli jaka sprawa, zawsze ten wygrywa co Lejzorowi więcej za wódkę zapłaci, Lejzor całą wioską rządzi, całą wioską trzęsie nie jak wójt, ale jak król, i nikogo to w oczy nie kłuje, nikogo nie martwi, ani was Mateuszu, nie prawdaż? a sromacie się obrać go na wójta!... Ej! namyślcie się, ja wam radzę Lejzora

Uśmiechnął się nie jeden na te słowa głupowatego Franka, wiedzieli bowiem wszyscy że to święta prawda co mówił. Ale stary wójt naperzył się, zaczerwienił i już podniósł rękę na niego aby go ukarać za jego zuchwalstwo; szczęściem powstrzymał go sąsiad:

— Dajcie mu pokój Mateuszu, wszakże on głupkowaty, sam nie wie co gada.

Tak głupkowatemu uszło na sucho, coby innemu pewnie darowanem nie było, bo prawda w oczy kole.

## RÓŻNOŚCI.

*(Dobry gnój.)* Wie każdy wieśniak jak ważną rzeczą w gospodarstwie jest gnoj. Im kto ma mniejsze gospodarstwo, tem bardziej starać się powinien, aby miał czem uprawić swój kawałek roli, i aby go dobrze uprawił. Ale nie dość mieć dużo gnoju, trzeba też aby gnój był dobry, to jest tłusty. Dla tego każdy gospodarz powinien się zaopatrzyć na zimę w dobrą paszę dla bydła, bo dobroć gnoju zależy od dobroci paszy. Oprócz paszy, trzeba się też zaopatrzyć w dostatek słomy na podściółkę, a kto słomy nie ma tyle ile trzeba, niechaj wie o tem, że bardzo jest dobrze posypywać podściółkę ziemią a wtedy można dawać mniej słomy. Nawet kto ma dostatek słomy, powinien podściołkę ziemią potrząsać jeżeli chce mieć gnój dobry. Nie używają u nas tego sposobu, bo jedni go nieznają, a drudzy się lękają że to potrząsanie podściółki ziemią dużo czasu i pracy kosztuje — ale w innych krajach od dawna już robią to i z nie małą korzyścią. Ziemię zwozi się w lecie, usypuje w kopiec na podwórku i przykrywa słomą, bo powinna być sucha. Najlepszy do tego jest czarnoziem, sypka glina, albo też muł torfiasty z łąk, wysuszony i sproszkowany.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.